

Władysław DUNAROWSKI
Redakcja Literacka

Dnia: 22.II.1981 r.
Godz.: 16,05 - 17,30

Główny Urząd Kontroli Prasy
Publikacji i Widowisk
Delegatura w Łodzi
uczelnia red. i wydział
i rozprawy techniczne

Nakład Nr Format

Data 20 II 81 Podpis

[Handwritten signatures]

"^u BEZPŁATNA PRAKTYKANTKA"

Kto szarpie za klamkę, otworzy drzwi, czym prędzej zamyka i ucieka. W izbie zatrząsienie gruzu, cegły, kamieni. Ani gdzie usiąść, ani stanąć. W środku podłogi na płaskim kamieniu zrobiona glina ślini się brudno-żółtą wydzieliną. Rozkoszna nowość dwóch małych berbeciów, po ozubki umorusanych i tak dokładnie, że o rozpoznaniu, gdzie oczy, nos i cała reszta - ani mowy.

Dla nich szczęśliwy dzień. Znikła rodzicielska władza w kurzu i pyle, a w zgiełku niecodziennych spraw zapodziały się wszelkie przykazy. Jest wolność, jest coś nowego. Niedawno był tu piec a teraz kupa gruzów i mgławica kurzu, Można w tym do woli baraszkować, nikt się tym nie gorszy, nie upomina, że tak nie trzeba. A jeśli doleci ich ludzki głos, to zaraz poznać, że ich nie dotyczy, nawet słuchać go nie należy.

Właśnie z mgławicy tumanów wydziera się krzyk, szorstki, niecierpliwy.

- Kaśka, prędzej z gliną! Nie dziadować się, robota czeka, do wieczora piec musi stanąć.

Krzyk jest zbyteczny. Kaśka bez upomnień uwija się ile może. Wyrabia glinę nogami, depce w kółko, dolewa wody, która potem wytryskuje pod spodnicę i łaskoce ją po nogach. Dziewczyna uśmiecha się do siebie i dalej tratuje grudki gliny. Zdaje sobie sprawę z celowości roboty: szwagier przerabia piec, glina musi być dobrze wyrobiona. I będzie. Wołanie niepotrzebne. Kaśka choć głucha, ale wie co do niej należy. Wie to najważniejsze, że od świtu do nocy trzeba się ruszać, coś dźwigać, wymiatać śmieci i kręcić się bez przerwy wokół ludzi, bydła, kur - że tak musi być, nie inaczej. I pilnie uważać, żeby szwagra czym nie urazić, nie rozgniewać. Kaśka to niby bliska krewność, ale więcej sobie ceni fakt, że jest służącą, i chodzi o to, żeby nią została jak najdłużej, do samej śmierci. Służącą można odprawić, jeśli coś nie pasuje. Kaśka drży na samą myśl: gdzie ona pójdzie ze swoją głuchotą. Więc stara się, żeby w domu wszystko było jak należy. Bo na kogo można by tu liczyć? Siostra często choruje, szwagier grubsze roboty ma na głowie, a dziadek się nie liczy. Chwilami rozpiera s ją duma, że bez niej ten mały światek nie mógłby istnieć.

Zdarzało się, że obok niej padały słowa cierpkie o wykorzystywaniu niemowy, bo robotna, pilnuje domu jak swego, a do tego krewność... Kaśka na szczęście nie słyszała tych słów; myślała, że ją chwala, więc na wszelki wypadek odpowiedziała uśmiechem.

- Kaśka, prędzej. Słyszysz?

Tomek się niecierpliwi, drażni go ta ciaprawa robota. Czy potrzebna? Przed sąsiadami tłumaczy się, że stary piec był do cna przepalony, nie do użytku, staroświecka landara, pół izby zajmował trzeba iść z postępem czasu. Trzeba wreszcie skończyć ze starzyzną, trzeba dom doprowadzić do porządku.

Ale stary Jędrzej inaczej patrzy na wywody zięcia. Jemu nie trzeba dwa razy gadać, w czym cała rzecz. Aby sobie ulżyć, pomrukuje półgłosem.

- Umyślnie teraz zaprowadza porządki, teraz, podczas wakacji. W chałupie narobił rozgardiaszu, aby przekonać, kogo należy jak ciasno... jak nie ma miejsca na tyle ludzi. Boi się, że wakacje się skończą, a Zośka mogłaby dłużej zostać w domu. Słyszycie go? Słyszycie jak klnie na glinę, na kurzawę, na hałas dzieci, ma Kaśkę? Myślałby kto, że prawdziwie na nich klnie. Nie o glinę chodzi, wcale nie o glinę.

Jędrzej szuka wzrokiem Zośki. Widział ją przed chwilą, szła z kawałkiem płótna do ogrodu. Ojcu nie trudno się domyśleć, co tam robi, o czym myśli. Ruszył w tym kierunku, bo trzeba się z córką naradzić, trzeba wreszcie ułożyć, co dalej. Najwyższy czas ku temu: lato się kończy, dom zatarasowany rozwalonym piecem... gdyby Zośka dłużej została, mogłoby dojść do poważnej domowej awantury. Tomek daje wyraźnie do zrozumienia, że ma dość dwóch bab: żony i Kaśki. Trzecią może uważać za gościa. Tylko że gościna musi mieć swoje granice. Zresztą Zośka jako wyuczona nauczycielka nie powinna się przyciskać do rodzinnego domu, nie po to się szkoliła.

Usiadł pod rozłożystym orzechem naprzeciw córki.

- Co z tego będzie? - pokazuje na płótno, ozdobione szlakiem niezapominajek.

- Obrus na stół.

Urwała się rozmowa. Ojciec w milczeniu trawi słowa "stół" i "obrus". I w tej chwili widzi córkę na wymarzonej posadzie, w małym pokoiku, przy stole, przy tym obrusie

I zaczęli naradę z dziwnym lękiem i nieśmiałością, brakuje im słów, pozostaje patrzenie na siebie z jakimś nieokreślonym wyrzutem. Jedno drugiemu pragnęłoby przypisać jakąś winę.

- Powinnaś tak...

Zośka tłumaczy, że robiła właśnie "tak" i było źle. Nic z tego nie wyszło. Wszystkie podania o posadę kuratoria szkolne załatwiały odmownie.

- Możeś nie napisała w papierach, jak należało... możeś co opuściła albo przekręciła?

Dziewczyna zaciska wargi ~~do krwi~~. Nie wie, jak ojca przekonać, że wniosek był bez zarzutu. I ten do Lwowa, jak do Brześcia i Wilna. Sądziła w naiwności, że te kresowe placówki są najpewniejsze. Toteż odsyłane dokumenty ogląda długo, po kilka razy czyta odpowiedź, sama sobie nie wierząc. Bo jakże uwierzyć, że nawet tej zapadłej dziury w poleskich błotach nie chcą jej dać. Ani tu, ani tam, gdzie już była prawie pewna. Czyżby nie ufali w jej siły i jej zapal? Z zimnych liter stara się wyczytać myśl, dlaczego jej wszędzie odmawiają. Ale litery są nijakie. Zresztą jest ich niewiele. Więc Zośka męczy się bolesnym pytaniem: dlaczego? I znów rozwija papierek.

Może przeoczyła jakąś uwagę. Pali ~~xi~~ ją każde słowo odpowiedzi.

Pali ją spojrzenie ojca. Jak go przekonać, że wniosek był dobry,

że urzędowych kawałków nie pisze się inaczej, że tylko przed

bliskimi można sklamrować^{żyć} na warunki, na biedę, ale nie w podaniu^{żyć}

do władz. Lecz Jędrzej z niedowierzeniem kiwa głową.

- Może by nie zepsuło, jakbyś napisała, że nie masz się gdzie podziąć, że co ojciec miał ci dać na wiano, wydał na szkoły, że teraz sam jest na łasce zięcia. Może by...

Zośka nie może zapanować nad sobą. Odwraca się do okna.

Dławiąc w sobie wściekłość i łzy, milczy. Rozpaloną^{żyć} twarz stara się ukryć w cieniu okiennej framugi. Takie zachowanie się córki wyprowadza ojca z równowagi. Przestaje się krępować jej pańskością i wyrzuca z siebie słowa twarde, długo skrywane.

- Ino sobie nie dworuj, boś jeszcze nie na swoim. Słyszysz co mówię? ^{Pan} Kaśce (Bóg odebrał mowę, trochę pomieszał w głowie, to ona może tu zostać. Ale dla ciebie miejsca nie ma. Nie widzisz, co Tomek wyrabia, jaką politykę prowadzi? Umyślnie teraz pod koniec wakacji dobrał się do pieca, aby narobić rozgardiaszu i stworzyć jeszcze większą ciasnotę. Łóżka z izby wyrzucił, sam nie

wiem, gdzie ułożyć sobie legowisko. Chyba na strych się przeniosę, do zimy wytrzymam. Tego się doczekałem na starość.

- Więc co mam robić z sobą? - wybuchnęła płaczem. - Do potoka się rzucić czy udać niemowę i puścić się w świat na żebraczy chleb? Poradźcie, ja nie wiem... Może do Warszawy się udać i tam na klęczkach błagać o jaką bądź posadę? Gdybym wiedziała, do kogo iść, poszłabym pieszo. Poradźcie.

Ojciec skulił się w sobie, coś pomamrotał pod nosem, co miało znaczyć, że ona mądrzejsza, bo uczona w szkołach, powinna wiedzieć. On swoje zrobił: wykosztował się na szkoły, nawet długu narobił, ale niczego nie wymawia, broń panie Boże. Tylko... że na tym koniec. Teraz sam patrzy na łaskę drugich. I nie skrywa myśli, jak to się wszystko odmieni, gdy Zośka zostanie nauczycielką i czasem choć na tytoń ojcu przyśle. Jeszcze dwa lata, jeszcze rok, potem wszystko będzie inaczej, potem ulga.

Lecz nadchodzące listy z urzędową pieczęcią kruszą powoli owe błogie nadzieje. W ojcu zaczyna wzbierać bunt.

- Daliby ci posadę, gdybyś była ze ślachty. Dla chłopca nigdy nic. Złakreć: Nigdy. A mówi się, że Polska nastąpiła, że

niewola skończona. Dla kogo ona jest? Ta Polska.

Ostatnia narada ojca z córką nie była całkiem bezowocna. Postanowili chwycić się ostatniego środka: adwokat Swiba. Tyle się o nim słyszy, można spróbować. Jednego dnia Jędrzej przemógł się, ubrał lepszą kapotę i poszedł do miasta. Może coś z tego będzie. Tyle ludzie o nim gadają, że Swiba więcej znaczy w powiecie niż sam starosta. Mimo, że jest tylko adwokatem. Jednak ogólnie wiadomo, że on decyduje o wszystkim. Nie starosta, nie komendant posterunku, lecz właśnie Swiba. Gdy zajdzie konieczność, by kogoś utracić, czy wyżej posadzić - robota Swiby. Kto w powiecie nie wykazuje działalności w duchu pana Swiby, nie nadsyła sprawozdań, nie czapkuje, długo się nie utrzyma.

Do niego udał się Jędrzej w sprawie posady Zośki. Oczywiście pan Swiba okazał dużo uprzejmości wobec Jędrzeja i przyrzekł poparcie. Nawet zapewnił skutek. Ma się rozumieć, posada pewna. Tylko... tylko przedtem ta panienska powinna się czymś wykazać... jakąś pracą społeczną. Może by zorganizowała we wsi kurs dla gospodyń... powiedzmy ściślej - kurs o obowiązkach obywatelskich. Potrzebne instrukcje otrzyma.

- Niech tylko przyjdzie do mnie. Mogłaby jakiś czas pomóc w biurze, potrzebuję właśnie... Tak, rozumie się, wszystko się zrobi. Dla swoich ludzi - wszystko. Bądźcie spokojni. Kraj się dźwiga, potrzebuje ludzi świątłych, którzy z Marszałkiem... chyba rozumiecie...

Jędrzej wyszedł oszołomiony. Dwie mile miał przed sobą, lecz z tej radości zapomniał kupić sobie coś na drogę. Gdy co nieco ochłonał, odczuł zmęczenie i głód. Należałoby gdzieś usiąść, odpocząć. Tak zastał go Ludwik od Gwiżdza. Więc przed nim zaczął wytaczać zale na stercz nogi, które już nie ciągną jak dawniej, na ciężką i daleką drogę do miasta. Ludwik choć młodszy także poczuł się zmachany. I jemu też zapachniał odpoczynek na grobli. Wyciągnął z kieszeni kawałek chleba, przełamał i częstując starego powiedział z uśmiechem: - Nawet nie wiedziałem, że baba włożyła mi coś do kieszeni.

Jędrzej nie dał się prosić. Aby czas urozmaicić, zaczął o Swibie. To złoty człowiek, dusza, pogada z człowiekiem, pomoże. A i nasz rząd nie musi być ostatni, jeśli są tacy tam ludzie. Miętosząc w ustach smakowite kęsy chleba, odpowiedział swoją

sprawę i starania o posadę dla Zośki. Tym razem opowiadał z przebiegskimi nadziei na odmianę losu.

W pewnym momencie Ludwik nie wytrzymał i ryknął gwałtownym śmiechem.

- A ciebie co tak poderwało do wesołości? - zdziwił się stary.

Ludwik szybko opanował nietakt.

- E, nic takiego. Przypomniałem sobie coś... Ruszamy? Bo jeszcze kawał drogi przed nami.

Stary zaczął nalegać, ciekawość go wzięła, co Ludwika tak rozśmieszyło, a jeszcze bardziej - że tak nagle uciał gadanie.

Ludwik po namyśle zapytał już całkiem rzeczowo.

- Znacie Helę od Kulawego? Słyszeliście o niej? Musieliście słyszeć.

Jędrzej coś sobie przypomina... że kiedyś było dużo gadania o Heli, co to z nią? Nigdzie jej nie widać, czyby pomarła?

- Gorzej. Żyje, ale przez wieś nie może przejść, bo ją palcem wytykają.

Jędrzej poderwał się z grobli, jakby go coś ugryzło. Rychtyk: Hela... spotkałem kiedyś jej ojca, nie wiele chciał gadać,

tylko klął na cały świat.

- Wystarczyłoby pokląć na jednego człowieka.

- To ty wiesz... gadajże, niech się dowiem prawdy:

- Nie ma co ukrywać. Nawet wróble świergołą, kto Helce drogę zagroził, kto ją tak urządził. Adwokat Swiba. Jej także obiecywał posady, także trzymał u siebie, dawał instrukcje. Znają go wszyscy, co to za ptaszek. Dziwne, że wy nic nie wiecie.

Tymczasem Zośka czekała. Często wpatrywała się w biały zakręt drogi i w każdym, kto pojawił się na rowerze, chciała widzieć listonosza. Czasem był listonosz, lecz bez koperty. Z widokówek od koleżanek dowiedziała się, że cztery maturzystki znalazły się już w grupie uprzywilejowanych. Otrzymały nominacje. Podczas bezsennych nocy snuła różne domysły, czyje to mogły być pupilki.

Jędrzej wrócił całkiem rozbity, do cna zmiażdżony. Tak, prawdziwie nie ma o czym gadać, tylko kląć na cały świat, kląć ile wlezie. Zośce powiedział krótko, że Swiba gdzieś wyjechał i nie prędko wróci. Więc niech pisze nowe podanie w takie miejsce, dokąd jeszcze nie pisała.

A droga do miasta coraz cięższa, już nie na jego nogi. Wyjął z kieszeni gazetę. Czytaj, rozerwij się, może znajdziesz, coś ciekawego.

Zośka przerzuca strony obojętne i dziwi się, że tak mało ją to wszystko interesuje. Zatrzymuje ją tytuł o szkole... Czyta z napięciem. Czyta drugi raz to samo. Potem jeszcze raz i za każdym razem to samo pytanie staje przed oczyma: jakże to? Milion dzieci bez szkoły, tysiące nauczycieli męczy się w ciasnych izbach przy stu nieraz uczniach wszystko dlatego, że brak szkół, brak nauczycieli, raczej nie nauczycieli, tylko etatów... Jakże to? Zośka chwyta się za głowę. Więc byłaby potrzebna, tylko... Ale tego "tylko" w żaden sposób nie może przeniknąć.

Jednego dnia zdarzył się cud: otrzymała wymarzoną kopertę.

I nagle dziwny lęk ogarnął: otworzyć, nie otworzyć? Otworzyła.

- Jest posada: rozległ się krzyk po domu.

Ojciec chce zobaczyć papier, sam przeczytać. Zośka waha się, lecz nie może odmówić żądaniu, by nie wzbudzić podejrzeń, że znów odmowa. Przecież tym razem nie odmowa. Posada:

- Co to? Bezpłatnie cię biorą? - przerywa ojciec czytanie i żąda wyjaśnień. - Co to znaczy "pełny wymiar godzin".

- To znaczy, że mię obowiązuje w tygodniu trzydzieści godzin pracy. Jak normalnego nauczyciela.

- Bezpłatnie? Jak oni śmia? Z czego będziesz żyła w mieście? Kpiny z ciebie robią czy co?

- Żadne kpiny. Czytajcie, co tu piszą. Czterdzieści złotych zapomogi miesięcznie. Nie zginę. Rok przetrzymam, a po roku jako bezpłatna praktykantka będę miała większe prawo otrzymać normalny etat.

- A ja ci mówię, że zginiesz - upierał się ojciec, ale chyba tylko dla przekory.

W szkole przyjęto ją na ogół życzliwie. Z wyjątkiem jednej, narcyzami pachnącej, nauczycielki, która ledwie raczyła podać praktykantce końce palców. Wnet Zośka przekonała się, że ta pani wszystkich podobnie traktuje. Żona wyższego urzędnika, nie byle co. A że uczy w szkole, to tylko z łaski, z grymasów. Pensja nauczycielska ledwie jej starczy na drobne wydatki. Na szczęście ma męża i przy jego pomocy jakoś tam wiąże koniec z końcem.

Zośce zakręciły się łyzy w oczach. Po raz pierwszy poszła do klasy bez zapалу, z niewytłumaczoną ociężałością w nogach.

Ale po południu znów ^wróciła do równowagi. Właśnie otrzymała owe czterdzieści złotych. Z tej racji postanowiła kupić do chleba pół kostki margaryny. Na przyszły rok będzie inaczej - rozmyślała, delektując się świeżym chlebem. Napewno otrzymam kontrakt albo nawet etat. A wtedy z pełną pensją można żyć i gwizdać na biedę.

Lecz przed nowym rokiem jest zwykle koniec starego.

I wtedy właśnie Zośka otrzymała urzędowe pismo z zawiadomieniem, że z nowym rokiem znosi się bezpłatną praktykę w szkołach. Nic poza tym.

Zośka długo trzymała w rękach papier, bowiem niełatwą rzeczą było uwierzyć w treść pisma.
